

ROMANS I POWIEŚĆ

Rok XII.

Warszawa, dnia 10 stycznia 1920 roku.

№ 2.

Kazimierz Zdziechowski.

POWIEŚĆ,

PRZEGRANA.

2

II.

Dwudziestoletni Karol, poważnie zwany służącym, gdy odjechała doróżka, nastawił sobie z powodu chłodu i śnieżycy kołnierz marynarki, włożył ręce do kieszeni, popatrzał na zamknięte już magazyny i bezludne chodniki, potem w górę w nawalnicę lecących płatków, uśmiechnął się bez racji, czy też z jemu tylko wiadomej przyczyny, nabrał śniegu do garści raz i drugi, wytarł sobie ręce, wygniół w palcach porządną gałę, cisnął nią w przechodzącą Marysię, pokojówkę od pana inżyniera i pędem pobiegł na II piętro, by ubrać się odświętnie i ruszyć w świat.

W dwukonce, która toczyła się cicho w stronę Mazowieckiej, państwo Rogońscy milczeli przeważnie, zapewne dlatego, że nawet najlepsze stadła (jeśli to patriarchalne wyrażenie może być zastosowane do tak nowożytnej, jak Rogońscy, pary) mało zwykle rozmawiają. Mecenasa prawili od czasu do czasu swoim zwyczajem jakieś ogólniki, żona zbywała go krótko.

— Walj śnieg! — zauważył pewnej chwili adwokat.

— Jutro będzie błoto — odparła żona.

Na tym utknęła rozmowa, powóz zatrzymał się niebawem przed wielopiętrową kamienicą, w której stryj Gustaw Rogoński, postawny właściciel okazałej realności, zajmował z żoną i córką Janką rozległe mieszkanie. Rodzina, t. j. Ludwik Rogoński, aferzysta-pechowiec, wiecznie zadłużony po uszy, pan chudy, bardzo wysoki i chorowity, stryjanka Ludwikowa bardzo żywa i wścibska, zwana przez męża kieszonkową z powodu małego wzrostu, ciotka Jadwiga, wdowa i wszyscy goście, czyli ksiądz kanonik, Staszek Nieladzi, Lucjan Chabrowski, jakaś

panna Kazimiera, wieloletnia przyjaciółka domu, zaproszona w ostatniej chwili dla wyrównania, czy zaokrąglenia nieparzystej cyfry i pan Chozowski, byli już w komplecie.

Wchodząc do salonu, pani Ewa wiedziała, iż zwróca się ku niej bawowate i niechętnie spojrzenia, i dlatego, choć cechowały ją prostota i spokój, postawa jej stała się nieco wyniosła, na ślicznym czole zarysowały się zmarszczki. Rodzina męża, nie mogła jej onej wyniosłości, komentowanej, jako wzgardliwości, wybaczyć. Za piękną żoną adwokat kroczył ciężko i wolno, przewalając się trochę z nogi na nogę.

Przywitano ich ze zbyt uczynnymi całkiem okrzykami zadowolenia. Pogadano kilka chwil o śniegu, który padał, i o śniegu zeszłorocznym, o influenzy, którą grasowała, gospodyni raz poraz zwracała wzrok ku drzwiom, niepokojąc się czemu nie otwierają — wreszcie drzwi rozwarły się. Przy oplatku składano sobie tradycyjne życzenia. Nie obeszło się oczywiście bez rozrzewnienia. Żalobna ciotka Jadwiga opanowała chęć do płaczu i stłumiła wspomnienia zmarłego męża a także syna, który był tak wielkim dygnitarzem nad Nawa, że nie miał czasu, ani dla matki, ani dla kraju, obu stryjom masnęła się myśl, że większy szmat życia leży za nimi, niż przed nimi, stryjenki nie tyle wzruszyła obawa śmierci, ile przecucie rychłego wdowieństwa, i obie panie znacząco spojrzały na małżonków swoich, oni zaś odgadli zawarte w spojrzeniu elegijne memento. Nieladna, rudowłosa i rudorzęsa, piegowata Janke, zniecierpliwiał stereotypowy, od szeregu lat powtarzany frazes: aby za rok do wilgi zasiadła „w parze“.

Wszyscy odetchnęli z ulgą, gdy skończyła się nieodzowna ceremonia. Zabrano się do zupy oddawna nala-

nej i trochę wystygłej. Nastrój sztuczny i uroczysty trwał jeszcze czas jakiś, i rozmowa rwała się. Kanonik u szczytu stołu usiłował nadać jej ton księdzowsko-jowialny, na drugim końcu Czesław, swoim zwyczajem, zaczął politykować, w centrum Staszek Nieladzi rozprawiał o skandalach wielkoświatowych, dając dyskretnie do zrozumienia, iż on brał w nich udział. Ewa słuchała bez zainteresowania, wiedząc dobrze, że sąsiad jej zmyśla, że nie jest po imieniu, ani ze Zdzisławem, ani z Guciem, ani nawet z Runiem, że pokazuje się w świecie rzadko i mało w nim znaczy. „A jeżeli Małkowski nie przyjechał“ — rozważała tymczasem — jeśli nie będzie na pastercze? jeśli nie spotka go ani dziś, ani wogóle? Tacy dziwacy zamykają się często w klasztorach!“ Cień zaszepienia, nudy i smutku kładł się ciemną chmurą na duszy pani Rogońskiej... „Czyżby to była owa oddawna wyżywana, niewiedzieć kiedy zrodzona miłość, której napróżno szukała w zimnem sercu, gdy tużin wielbiceli zapewniał ją w słowach o wiecznym kochaniu, oczami wyrażał pożądliwe zachwyty?“ — rozważała po chwili, podczas gdy spojrzenie jej zatrzymywało się przelotnie na bogatych obrazach, na pięknej zastawie, na półkach z porcelaną, na portrecie jakiegoś dawno zmarłego Rogońskiego, albo na którymś z obecnych przedstawicieli tego rodu. Woląła stanowczo wszystkich nieboszczyków, wśród żywych nudziła się zawsze niepomniernie. Stryjenki uprawiały dobroczynność i pobożność, przeplatały mowę francuską frazesami, panowie jeździli za granicę do Monte-Carlo, Vichy i Karlsbadu, chodzili (z wyjątkiem radykalnego Czesława) do kościoła, posiadali majątki ziemskie (także z wyjątkiem Czesława) mieli rachunki bieżące w tych samych bankach, ubierali się u tych samych krawców, czytali te same gazety, co szcześliwcy z wielkiego świata, słowem, w postępkach nie różnili się niczem od członków wyższej sfery, a jednak nie należeli do towarzystwa. Miasto wycisnęło na

nich, oraz na żonach ich, swoje nie-
starte piętno. I dlatego to, zdaniem
pani Ewy, było w ich domu tak du-
szno. Czegoś, jakiejś wady czy za-
lety było tu za wiele, a z drugiej stro-
ny brakowało czegoś, może występ-
ku, może podniosłości, przedewszyst-
kiem zaś brakowało wykwintnej o-
glądy i prostoty, cechującej wielki
świat, oraz dawał się odczuć niedo-
statek inteligencji, którą znowu na-
leżało szukać kilka szczebli niżej, ra-
czej o wiele stopni wyżej, czyli wśród
sfer pracujących umysłowo.

W przeciągu 8-iu lat Ewa pozna-
ła gruntownie to obce, niemiłe, dzi-
wne jakieś środowisko Rogońskich,
mogła dokładnie z góry opisać, gdy-
by to było zajmującym, przebieg
dzisiejszego wieczoru i także zebra-
nia wielkanocnego za 7 lat. Gdziein-
dzie działały się przewroty, w tym
kłanie nic się nie zmieniło. Ewa u-
miała na pamięć każde ze słów, któ-
re dziś i za dwa lata przez każdego
z Rogońskich wyrzeczonym zostanie.

Ewa wiedziała, że będzie mowa
o drożyznie i, o oburzających, z każ-
dym rokiem większych wymaga-
niach, kaprysach i fanaberjach służ-
by (ten paragraf roztrząsano w je-
zyku francuskim), o struclę makowej
i sekretnych przepisach kucharza
Florjana, którego talentem, miły wła-
sna zasługa, szczycił się stryj Gu-
staw, o księżach i jakimś arystokra-
tycznym mariażu, o papudze stry-
jenki Ludwikowej, o śledziu poda-
nym po niemiecku, czyli z czekola-
dowym sosem, który, to dowcip sta-
nowił ozdobę nieobfitego repertuaru
stryja Ludwika... Ewa wiedziała, że
między stryjkami, które były sio-
strami, wyniknie spór o antysemit-
yzm, że stryjka Ludwikowa bę-
dzie wynosić pod niebiosa doktora
Immerglückę i dentystę Jungfermil-
cha, gdy stryjka Gustawowa, zwa-
na „imperatorką“ z powodu tuszy,
postawy i arbitralności, pozująca na
matronę pełną zasad, najbezwzględ-
niej potępia wrogów kościoła i naro-
du, czyli żydów i socjalistów... Ewa
wiedziała, że pewnej chwili, (zaraz
po czarnej kawie) stryjka siada o-
bok siebie i z minami bolesnymi, kon-
spiracyjnie i zgodnie szeptać będą,
ubolewając nad tym, że Gustaw su-
wa nieco nogami a Ludwik mizer-
nieje, że Janka nie chce iść zamaż,
(w rzeczywistości Janka od chwili
ukończenia pensji gotowa była z każ-
dym opatentowanym przez rodzinę
konkurentem stanąć na ślubnym ko-
biercu, ale nie podobała się panom,
rodzice zaś chcieli koligacji i nazwi-
ska) że ona, Ewa, nie zajmuje się do-
mem, że dużo wydaje, zanadto się
stroji i bawi, nie przyłgnęła do rodzi-
ny i jest złą żoną, że fabryka papie-

rów klozetowych „Hygea“, w którą
siostry włożyły, namówione przez
Czesława, część swoich posagów, że
funkcjonuje i niskie daje procenta...
Ewa wiedziała, że pod koniec wie-
czoru, wszyscy, t. j. konserwatywni
stryjowie, radykalny bratanek, nale-
żąc do różnych rzekomo obozów,
stryjenki, gromadzą się do kupy i bę-
dą do późna już najzupełniej poje-
dnawczo i solidarnie z ożywieniem
rozprawiać o kamienicach, akcjach,
dywidendach, spekulacjach, o Lilpo-
pach, Rudzkich, Starachowicach, o
fabryce papieru klozetowego, która
tyle obiecywała pieniędzy i zawio-
dła... Każde zebranie rodzinne odby-
wało się podług tego samego regu-
laminu... Ach, jakże Ewie dokuczyły
zebrania całej rodziny, a zwłaszcza
ten jej przedstawiciel, dzięki które-
mu znalazła się w tym gronie, t. j.
mąż...

Pewne urozmaicenie wnosił tu
niekiedy wspólnik czy przyjaciel Ro-
gońskich i dzisiejszy sąsiad Ewy z
lewej strony, Lucjan Chabrowski, o-
sobnik nieokreślonego zajęcia, zwany
panem inżynierem, nietuzinkowej in-
teligencji, niepospolitych zdolności
finansowych i niezupełnie zwyczaj-
nej powierzchowności... Wyglądał na
starzejącego się aktora a, zdaniem
innych, na suspendowanego księdza;
bujne, czarne, krótko strzyżone wło-
sy, przeplatała obficie siwizna, czoło
marszczyło mu się w niezliczoną
mnogość długich, cienkich, poprze-
cznych zmarszczek, skóra na cza-
szce ruszała się jak u małpy, wśród du-
żej, okrągłej twarzy, sterczało olbrzy-
mie, mięsiste nosisko, ciemne i bły-
szczące oczy narzucały się spojrze-
niem śmiałości i bystrością. W Ewie, ten
wspólnik Rogońskich budził dziwne
uczucie niesmaku i zainteresowania,
odrazy i pociągu, lęku i wesołości.
Wolała go nie widywać, albo przy-
najmniej znajdować się jak najdalej,
lecz gdy spotykała się z nim, ulegała
w zadziwiający sposób jego władzy,
czy urokowi i wpływowi... Chabrow-
ski czytany we wszystkich literatu-
rach świata, niezmordowany podró-
żnik, doświadczony znawca wszel-
kich sekretów, rozkoszy, umiał, sko-
ro chciał, ożywić najnudniejsze ze-
branie, ale dziś był głodny czy zły
i milczał przeważnie. Od czasu do
czasu dokuczał Czesławowi, choć sam
wyznawał podobne teorie anarchi-
zmu, błyskotliwej parodoksami, za-
barwionymi reakcyjnie, pozatym ze
smakiem spożywał wyborne arcy-
dzieła mistrza Florjana. Lokaje wno-
siły coraz to inne, coraz wspanialsze,
wydobyte z głębin dalekich wód,
ryby, które rozpostarte na długich
półmiskach, martwymi oczami, zda-
wało się, dziwowały się sali, zalanej

światłem, gościom, ziemi losowi swe-
mu, sztucznym ozdobom na własnej
skórze.

— Dla ciemnego czoła pani —
rzekł naraz Chabrowski — dla cu-
dnych, ciemnych brwi, czarnych o-
czu i złotych włosów, dla głosu, dla
ust czystych ludzie szaleją, a pani
wie o tem i poziewa.

— Jeśli poziewam, to za przy-
kładem pana inżyniera, który nie
raczył odezwać się do mnie, ani sło-
wem.

— Ludzie szaleją i ja także —
ciągnął dalej Chabrowski — pani drwi
sobie ze wszystkich, lecz przyjdzie
kryśka...

Ewę, to niespodziewane wyzna-
nie niezbyt zdziwiło; Chabrowskiemu
uchodziło wszystko, zresztą słyszała
już podobne, choć nie tak gwałto-
wne pochwały, wiele razy. Uśmie-
chnęła się i spojrzawszy ku zegaro-
wi, obliczała czas do pasterki, potem
podniosła wzrok na męża, który ga-
dał, żując pełnymi ustami salate, jadł
zanadto prędko i żarłocznie, zbyt ni-
sko pochylał się nad talerzem, nie
rozstawał się z nożem. „On nigdy
nie nauczył się jeść!“ gorszyła się E-
wa i przypatrywała się z kolej Jance,
jej rudym włosom i rudym ruchli-
wym ręką, zadartemu noskowi,
małej, pokrytej piegami twarzy, po-
tem Chożowskiemu, który zjawił się
tu dziś chyba w roli konkurenta, wo-
dziła znudzoną spojrzeniem po
świeżej dacie portretach, okazałych
nowożytnych srebrach, porcelanie na
półkach... Nigdy jeszcze ta atmosfe-
ra bogactwa, niemieckiego tradycja,
ani kultura, atmosfera cnotli-
wych frazesów, obludy, filisterstwa
i mieszczaństwa, tak nie ciążyła E-
wie, jak dziś. I jeszcze raz w prze-
ciągu tego wieczoru, Ewa nieobecne-
mu Małkowskiemu czyniła wyrzuty
za to, że wyjechał z Warszawy,
przepadł gdzieś, być może, jak w o-
wej pieśni, w białym klasztorze... bo
zdawało się jej, on jeden potrafiłby
wyrwać ją z tego otoczenia, wyba-
wić od nudy.

Tymczasem Lucjan Chabrowski,
opowiadał na cały stół — gdyż lubił
duże audytoria — doskonałą angielsko-
amerykańską anegdotę o słoniu,
który, zdjęty litością nad osieroco-
nemi kurczętami, zwołał je do kupy
i, naśladując kokoskę, usiadł na nich.
Chabrowski słonia porównał do Ro-
sji, pragnącej być matką narodów
słowiańskich i wielu innych szcze-
pów. Wszyscy śmiali się, najgłośniej
Czesław, który nienawidził państwa
carów. Następnie Chabrowski zapro-
ponował, by każdy wobec dnia wilji
i składania życzeń, sformułował po-
cichu, konkretne swoje pragnienia.
Chabrowski twierdził, że zwykłe lu-

dzie, choć narzekają, smucą się i troszczą, nie wiedzą czego chcą. Pokazało się, że tak było istotnie; każdy z zebranych żądał zbyt wielu rzeczy naraz.

— A pani? — spytał Chabrowski Ewę, która dotąd milczała.

— Ja wiem, czego chcę obecnie — rzekła, myśląc o pasterce i projekcie, który ukuła.

Popatrzył jej w oczy uważnie. Oczy Ewy spłoszyły się. Poczęła mrugać powiekami, usiłując odeprzeć się jego wzroku.

— I to się spełni napewno — powiedział z przyciskiem i cicho...

Ewa milczała.

— Mnie nie zdarzyło się jeszcze nigdy, by nie stało się to, czego żądam od losu — odezwał się głośno.

Słowa jego wywarły wrażenie niezwykle. Niektórzy oburzyli się, mecenas zarzucił swemu współnikowi błagę. Gustaw Rogoński śmiał się dobrodusznie. Janka zawołała: „Jakie to nadzwyczajne!”

— Jest pan nowożytnym Polikratesem! — zauważyła Ewa.

— Niech sobie pan wyobrazi, że chyba tak... ale nie boję się zemsty bogów i żadnego pierścienia nie zamierzam rzucić do morza...

— A gdyby pan był rzucił, toby pan go znalazł w jednej z dzisiejszych ryb.

— Opowiem pani dlaczego tak jest i nauczę mego sekretu — szepnął Chabrowski — chce pani?

— Nie, panie, nie chcę! — odparła, przeczuwając cyniczny dwuznacznik.

— Co się stało z tym lunatykiem, gadatliwym i nudnym, który rok temu pracował w kancelarii Czesława, z tym autorem kilku kiepskich broszur, Małkowskim? — spytał naraz pan inżynier, mierzając ją badawczym wzrokiem.

— Wyjechał do jednego z miast kresowych.

— I nie bywa nigdy w Warszawie?

— Nie wiem, panie — odparła Ewa i czując, że zaczyna rumienić się, zmarszczyła czoło, wyprostowała się wyniosłe.

Wstawano właśnie od stołu — panowie poszli na cygara do gabinetu. Stryjenki uczyniły, jak przewidywała Ewa tragicznie — tajemnicze konsylium rodzinne. Chabrowski nie odstępował pięknej pani adwokatowej. Janka przyłączyła się do nich i raz poraz, cokolwiek opowiadał pan inżynier, wykrzykiwała: „Ach, jakie to ciekawe! ach, jakie to niezwykle!” — niecierpliwac Chabrowskiego, któremu chodziło nie o zachwyt rudowłosej jedynaczki, ale o rozmowę sam na sam z Ewą.

Ewa nieznacznie śledziła posuwania się wskazówki i obliczała czas — pewnej chwili poczęła się żegnać. Wobec wczesnej godziny, zatrzymano ją usilnie, zwłaszcza mąż, któremu nie chciało się o 10-ej wracać do domu, któremu przy kawie i likierach, wśród dymu cygar, przy rozprawach politycznych i finansowych, przyjemnie schodził wieczór.

— Ja panią odwiozę do domu i do kościoła — rzekł Chabrowski.

Pomysły Chabrowskiego miały tę właściwość, że nikt im się nigdy nie sprzeciwiał, nikt nie przeszkadzał.

Ewa, jakkolwiek obecność nieproszonego towarzysza mogła jej popsuć całą radość zdawna ułożonego projektu, nie powiedziała ani słowa.

Dalszy ciąg nastąpi.

Na strunach śpiewnego słowa.

Rytm pieśni naszej budzić się zaczyna do nowych, twórczych przeznaczeń. Pieśń Polski wolnej, nie będzie już służebną sprawą, związanych z troską dnia, lecz rozwinie szeroko skrzydła do podniebnego lotu o najwyższe objawienia Piękna. Marzenia o pieśni tej nastrajają szczególnie młodzież naszą na ton zaczepno-polemiczny. Chodzi im o niezdefiniowany ideał, a rzeczywistość nie przynosi tych górnych a chmurnych objawień poetyckich. Trzeba jednak powiedzieć, że ilościowo sztuka wierszowana kwitnie u nas wcale bujnie. Niema tygodnia, by nie zjawił się jakiś nowy zbiorek wierszy. Wśród tych zbiorów dużo jest rzeczy poprawnych w robocie artystycznej, ale szerszego technienia trudno się doszukać.

Wśród wydawnictw tych na czoło wysuwają się trzy zbiorki poezji: Jana Lemańskiego „W kraju słońca“, Aleksandra Szczęsnego „Tarnina“ i Michała Gabriela Karskiego „Drzewo przydrożne“. Jan Lemański posiada już ustaloną reputację na parnacie polskim. Jego bajki i wiersze ironiczne stały się bardzo popularne. Liryka zaś Lemańskiego zyskała sobie wśród poważnych miłośników słowa wiążącego kult trwałą. Obecnie wydany tomik „W kraju słońca“ jest właściwie dziennikiem poetyckich zachwyto-ów i przeżyć z pod nieba słonecznej, radosnej Italii. Lemański tak rozkochał się w cudach morskiej przyrody, że „Lago Maggiore“ pragnąłby nawet mieć za miejsce zgonu. Woła on:

*Gdy będę umierał, spraw, Boże!
Bym umierał przy tem jeziorze,
By mi jego wody szumiły,
Zanim usnę, śmiercią zniemiły.*

Nie znaczy to wcale, by Lemański żyć nie chciał wśród kras włoskich. Zwidują mu się figlarni kochankowie, jak „Paolo i Francesca“. Marzy „o szczęściu“ wśród palm, pomarańczy, róż i cyprysów. Radzi przytem:

*„Tej rady wam udzielam całym sercem
radem:
Pod włoskimi się kochać jeźdźcie
niebiosami
Weźcie hotel z ogrodem, ogród
z cyprysami“.*

Lemański przyrodę włoską transponuje na piękne strofy. Kto był wśród tych skarbów — odczyta sonety Lemańskiego z prawdziwym wzruszeniem. Kto znów nie był — rozkoszować się będzie

plastyką jego poetyckiego opisu i wdziękiem beztroskiej refleksji, nanizanej na struny czystobrzmiącej melodii.

Wiersze p. Aleksandra Szczęsnego przesłania welon srebrnej mgły, unoszącej się ponad polami w rzeźkie poranki, w kraśne jutrznie. W piersiach jego kwitnie przytem biały kwiat nostalgii za światem wyidealizowanym, wystylizowanym na wizjach słowiańskiego Lohengrina, wiecznie dążącego do Monsalwatu. I dlatego p. Szczęśny zbiorek wierszy swoich poświęca

*„Tym, którzy pośród wielkiej nocy nie
posnęli,
I nie poszli za marą, pośród gór
lyskania,
A w serca brali wszystko i choć bólem
drżeli,
Z otwartem stał okiem w wirze
mocowania“.*

Lohengrinową szatą otuli również „Ciemną siostrę“ i nie ulegnie się „Schadzki“. Powie on ustami drzemiacem w arcy-ludzkim, świętem uniesieniu:

*„Wyjdz, otulona w chustę szara,
Spoglądając, czy kto nie patrzy:
Czekam ciebie pod ścianą szara,
Gdzie niewietrzno i deszcz jest rzadszy“.*

Poezje p. Szczęsnego odczuje tylko człowiek, który umie schodzić w labirynty tajemnych przeznaczeń. Wszystko tu spowija wdźwięk słowa nieświadomego, otula koronką delikatnej śręzogi.

„Drzewo przydrożne“ p. Michała Gabriela Karskiego hołduje również światom wizyjnego marzenia. P. Karski świat ten bierze sobie za tarczę poetycką. Śpiewa on:

*„Hu! rycerzy, przed wroga wiecznymi
najazdy
naszego cudownego zamku bronim
wnętrza;
dobywszy jasnych mieczów ostrzonych
o gwiazdy
za złudę złud walczymy, co jest z prawd
najświeższa“.*

Nie znaczy to wcale, by p. Karski nie śpiewał kras przyrody. I on czuje „szczęście wiosenne“, gdy „ziemię obiega pierwszy dreszcz złocisty“. Na strunach poety i uczucia miłosne nabierają kształtów pociągających, ponętnych.

Eust. Czekański.



Pustka.

*Wierna kochanka pustka, cała w atlas strojna,
w aksamity, koronki i z muszką na twarzy,
pachnąca i wytworna, jak księżna dostojna,
co dzień milczącą nocą grzecznie ze mną gwarzy.*

*I w stylowym uśmiechu karminowe usta
rozchylając maleńkie, słów peretki sieje,
co dzień późnym wieczorem, ma kochanką pustka
dawne, kiedyś przeżyte, opowiada dzieje.*

*Zegar tylko dyskretnie wydzwania godziny,
iskra jeszcze w kominku ostatnia się żarzy,
z cygaretki dym wolno rozsnuwa się siny,
i złocista się główka jak sen cudny marzy...*

*Oczu szarych błękity — rąk maleńkich kwiaty —
jakieś słowo czarowne, co koi i pieści...
kochanka pustka w atlas strojna i brokaty,
patrzając na mnie z uśmiechem wachlarzem szeleści.*

*I tak codziennie, wieczorem, ze mną cicho gwarzy
wierna kochanka pustka, cała w atlas strojna;
a mnie główka się złota, jak sen cudny marzy
i twarzyczką maleńka — czarowna — upojna...*

WACŁAW SIEROSZEWSKI.

POWIEŚĆ.

TOPIEL.

20

— Niech pan mówi o Irkucku. Co tam robią?... Czy tam dużo ludzi?... Czy wiele ma pan znajomości?... Czy się pan bawi?... — pytała szybko, nie czekając prawie na odpowiedź.

— Szczęśliwy pan...

— Dlaczego? Nic tam takiego niema. Chodzą przechodnie po ulicach. Domy, ludzie, magazyny... Wszystko do siebie podobne, zawsze te same... Nudno... Doprawdy nudno...

— Ach, nie! Tam tysiące osób przepływa, jest wybór... są znajomości... Wre życie... Każdy może szukać tego, do czego ma upodobanie...

— Zapewne, wielkie miasto robi życie swobodniejszym... — wstał Praclawicz poważnie. — Poczekaj, córko, z bogacim się; to pojedziemy... Może nawet pojedziemy do Warszawy!... Zgoda, co?...

— Ba, zapewne! Ale może to będzie wtedy, kiedy mi nic już nie będzie z życia!...

— O, do tego jeszcze daleko!... — żartował Kazimierz.

— Skąd pan wie?... Pan tu wszystkiego zaledwie trzy dni. Niech pan nie myśli, że pan wszystko tak od razu poznał...

— To też ja nie myślę, ale bym chciał...

— Doskonale, moje dzieci, poznawajcie swoje tajemnice, a ja tymczasem muszę iść do Połujanowa i Stupajewa... Mam nadzieję, Kazimierzu, że zostaniesz u nas na obiedzie...

Wyniósł się i zostawił ich samych. Była to jawna prowokacja. Zofja zapłonęła się zlekka i spojrzała z determinacją w pobladłą twarz gościa.

— Może i my przejdziemy się trochę po ulicach? Mam do załatwienia sprawunkę w Gościńnym Dworze.

— A nie boi się pani?...

— Czego?...

— Plotek. Albo, że... spotka nas... ten Stupajew.

— Ocho!... Właśnie u niego będzie siedział papa! Niema obawy...

Urwał zmieszany.

Wyszli i cały czas rozmawiali o rozmaitych drobiazgach i szczegółach codziennego życia, o małych zmianach, jakie zaszły w życiu tego małego miasteczka w ciągu ubiegłego roku. O większości tych nowin Kazimierz już wiedział, ale nie nudziły go bynajmniej, powtarzane przez nią. Śledził za ruchem jej ust i starał się choć na chwilę uchwycić promienie jej żenicy. Ach, spojrzećby w nie głęboko i dowol! i upić się spojrzeniem.

— Panno Zofjo! — szepnął, gdy już wracali. — Czy to prawda, że... że pani jest zaręczona... ze Stupajewym?...

— Nie, tak daleko jeszcze nie szło. Ale to rzecz możliwa, ojciec sobie tego życzy...

— Czy go pani... kocha? — spytał ciszej jeszcze.

— Nie.

— Więc jakże?... Za mnie pani nie wyszła, bo mnie pani nie kochała...

— O, to co innego... Pana ja może mogłabym pokochać, jego nigdy...

— Więc jakże, więc co zrobić, żeby...

— Trzeba tu być...

— Jakżeż... pani wie... ja nie mogę... służba. Niech pani poczeka...

— Właśnie... Czekać z takim tatusem jak mój to niebezpiecznie... Kto mi zaręczy, że pan wróci taki sam...

— Przecież wróciłem...

Uśmiechnęła się gorzko.

— Nie wiadomo... Stupajew dobrać jest partiją, niedługo znowu awansuje... Ma u naczelników poparcie...

— Słyszałem, że zdierca i łapownik...

— O wszystkich tak mówią... Wszyscy wy mężczyźni do siebie podobni.

W domu zastali Bronię i Bełzę, przekomarzających się o jakieś drobiazgi.

— Czy ten elegant, codziennie u was bywa?... — spytał na stronie Zosie Kazimierz.

— Prawie, że codziennie... Pracuje u ojca w biurze...

— Wiedzieć panny, że w tych dniach przychodzi transport złota i Połujanow wydaje bał z tego powodu. Przyszła depesza... Na policji wzmożona działalność!... — obwieścił Bełza siadając przed pianinem i biorąc akord.

— To pewnie dlatego wezwał ojca Zachar Martynowicz...

— A dużo złota? — spytała Bronia.

— Dziesięć pudów!...

— Ocho! Gdyby tak dostać to na własność!... — westchnęła.

— To nawet nie Połujanowa, to Kompanji...

— Połujanow bogaty, ale ma dużo długów... — zauważyła poważnie Zosia.

Pracławicz wrócił nieswój i zamysłony, nie udawał mu się ani żarty, ani uśmiechy.

Kazimierz chciał odejść, ale go nie puścił.

— Wprowadź dziś już nie będę mógł z tobą mówić o tych *podrjadach*, lecz bez obiadu cię nie puszczę... Mam nadzieję, że znowu przyjdiesz jutro!...

W czasie obiadu ratował sytuację Belza, opowiadając szeroko o politycznych nowinach z gazet.

— Ze złotem powinna przyjść również pocztą!... — zakończył.

— Tak, tak: ze złotem powinna przyjść pocztą!... — zgodził się Pracławicz. — Nie potrzebnie tylko tak głośno o tem złości mówicie...

— Bo co?... Całe miasto wie!...

— Niby nic, lecz nie należy!...

XV.

Kazimierz przyszedł nazajutrz i chodził w dnie następne, choć jasną stało się dla niego rzeczą, że narady w sprawach dostaw wojskowych, były jeno marnym pretekstem. Stary chciał go do siebie widocznie przywabić, a słaba nadzieja, jaką rozbudziły w nim półsłówka i spojrzenia Zosi, zrobiły resztę...

— „Trzeba tu być“!... — powtarzał sobie. — Mam miesiąc czasu, a zakochują się czasem w dzień jeden, od jednego spojrzenia... Trzeba czekać tylko, aby przyszła chwila!... — rozważał prostodusznie.

Nawet sumienie gospodarze nie mu nie wyrzucało, gdyż Tadeusz przyplynał z łak po żywność i powiedział, że cała łaka już skoszona, że pozostaje im tylko siano przetrząsać i składać w kopy.

— Wykosili jednego dnia. Trzech czerkiesów coś przyszło. *Migiem* zrobili!...

— Dobrze koszą czerkiesi? — spytał pan Wojciech.

— Morowo!... — odrzekł, naśladując Gawara. — Tylko nie chcą, leniuchy są...

— To i dobrze się składa, wypoczniesz sobie trochę, Kazimierzu!... — zauważyła łagodnie pani Wojciechowa, spoglądając na zmierzniałą cokolwiek twarz starszego syna.

— Tak, do żniw mamy jeszcze ze dwa tygodnie!... — zgodził się pan Wojciech.

Nie udawał nawet więcej Kazimierz, że chodzi do Pracławiczów dla owych narad handlowych; namietność jego wybuchnęła z dawną siłą i nie krył jej, jeno chmurzył się i gniewał, gdy zastawał w salonie kogoś z miejscowego towarzystwa. Zdarzało się to dość często: to prokuratorowa Aleksandra Markowna, to Katarzyna Pawłowna, to Tarnowski, to Kieszka Sofronycz Zubkow...

Parę razy nawet spotkał się z podporucznikiem Stupajewym i ten okazał mu dość łaskawe względy ze swej oficerskiej wysokości...

— Jest pan, jak chmura!... Nie lubię tego!... I z jakiej racji!... Zapomina pan, że to są nasi goście!... — oburzała się Zosia.

— Hołota!... Moskale, których należałoby rozpedzić na wszystkie strony świata!...

— Bardzo proszę!... Nigdy bym nie wyszła za człowieka, który każałby mi zostać pustelnicą... Doprawdy, stokroć lepszy i nawet lepiej wychowany jest Stupajew, choć pan na niego tak napada!...

— Nadęty pęcherz!... Kości mu kiedy połamię!...

W rezultacie, zwiększona u przejęmość Zosi dla „towarzystwa“ i wzrastająca chmurność Kazimierza...

— Ten żołdak tak patrzy, jakby siedem wsi spalił, a ósmą myślał!... — zauważył raz Czubarow do Stupajewa. Ten uśmiechnął się:

— Też... za rubla ambicji, za grosz amunicji!...

— Nie bądźcie dla niego panowie surowi!... Młody jest, a młodość nie umie ukrywać swych uczuć... Jest jednak w tej swojej melancholji bardzo interesujący — bronila go tłusta Szymkiewiczowa.

— O co chodzi?... — spytał się Połujanow, podchodząc ku nim.

Siedzieli na kanapie pod lustrem, tworząc odosobnioną, arystokratyczną grupę. Rożkowa brząkała na pianinie, a Golde przewracał jej nuty i próbował nucić... Kazimierz stał opodal oparty o framugę drzwi i pociemniałymi oczyma śledził za Zosią, rozmawiającą z Zubkowym.

— Jaka szkoda, że niema Tereszenki!... On by nam zaśpiewał!... — krzyknął nagle Archangielow.

— Gdzie on się podział?... Istotnie dawno go nie widać... Czy nie uciekł czasem?... — zapytała nieostrożnie prokuratorowa...

— Tego brakowało!... — wybuchnął Stupajew...

— Gdzież się podział gospodarz?... Czas by już wypić!...

— Ojciec zaraz przyjdzie!... Zawołał go do biura Drużkow... w jakiejś ważnej sprawie... — Prosił, żeby na niego nie czekać... Niech pan da przykład, zrobi początek, panie Zacharze Martynowiczu!... — zwróciła się do Połujanowa Bronia.

Ten obrzucił dziewczynę krótkim spojrzeniem i zlekka ziewnął:

— Niech kto inny!... Coś nie mam ochoty!... Zaczynajcie wy, poruczniku!... Jako wojenny musicie być zawsze gotowym do ataku, bakterja groźna.

Przekomarzali się żartobliwie, spoglądając na ustawione na stoliku butelki.

— Ja panów pogodzę; weźcie się pod ręce i idźcie razem!...

— Na oczach ludzi i śmierć wesola! — śmiała się Zosia.

Ruszyli szumnie ku stolikowi, prowadzeni przez obie Pracławiczówny.

Już pierwsze kieliszki obeszły swą kolej, już żywe, wesole dźwięki zaczęły zastępować niedawną ospałą i chmurną rozmowę, gdy wszedł do salonu Belza i nie witając się z nikim, zbliżył się do Połujanowa i szepnął mu słów parę do ucha. Ten spojrzał na trzymaną w ręku kieliszek, pełny bursztynowej wódki, postawił go na stole i ruszył za Belzą...

— Pijcie, pijcie panowie!... Na mnie nie czekajcie, ja zaraz!... — zachęcał zebranych.

Ale zmieszanie, malujące się na twarzy Belzy i tajemnicze zachowanie się Połujanowa wstrzymały rodzące się ożywienie i zjednoczenie towarzystwa. Daremnie zapraszały Bronia i Zosia.

— Coś... nie tego!... — mruczał prokurator.

— Nie mogli to poczekać?... — gniewał się Archangielow.

Wszyscy nasłuchiwali pilnie ku drzwiom przedsionka, gdzie szemrały jakieś głosy i skrzypiały kroki. W powstającej ciszy żalobnie i nieśmiało brzęczały widelce i noże, uderzając o brzeg talerzy i cicho bulkała rozlewana do kieliszków wódka. Wszyscy drgnęli i obrócili się, gdy drzwi wejściowe otwarły się szeroko i na progu stanął dyżurny przy policji kozak.

— Jego Wysoka Szlachetność Isprawnik prosi was do siebie Jegor Polikarpowicz!... — zwrócił się służbiście do Stupajewa.

Dalszy ciąg nastąpi.



Rubin Prymadonny.

22

Powieść w dwóch tomach.

— Świadcze się Allachem, że mówię prawdę — odrzekł Logotheti. — Gdybym cię nie znał i spacerując po Wielkim Ogrodzie w Londynie spotkał cię nad brzegiem rzeki powiedziałbym sobie, że jesteś najładniejszym dziewczęciem w Anglii, lecz że chciałbym zobaczyć cię w pięknym kapeluszu Feridżych i pięknej sukni, zrobionej w Paryżu.

Twarzyczka Baraki wyraziła zaniepokojenie. Spojrzała na Logothetiego, jakgdyby chcąc wyrozumić jego myśl.

— Rozumiem — rzekła. — Zanim się z nim spotkam muszę mieć więcej sukien, dużo pięknych sukien. Ubierać się po męsku było rzeczą bezwstydną, ale łatwą, bo zawsze było to samo: trzy guziki, albo cztery guziki, wysoki kapelusz, albo niski; to cała różnica. A także mężczyźni Ferendżych, zapinają swą odzież tak samo, jak Muzułmanie; lewa strona na prawą, a tymczasem u kobiet widzę często ubranie zapięte na sposób hinduski. Dla czego? Czy kobiety wyznają inną religię niż mężczyźni? — to bardzo dziwne.

Logotheti zaśmiał się; nigdy bowiem nie zauważył, tej istotnie trochę osobliwej odmiany, która tę urodzoną Azjatkę uderzyła odrazu.

— A w dodatku, to kobiece ubieranie się jest bardzo trudne — ciągnęła dalej Baraka, opierając się o bułkami o bort. Bez tej dziewczyny, Maggy, którą mi znalazłeś — jej prawdziwe imię jest Gula, i jest dobrą muzułmanką. — Allachowi tylko wiadomo, jakbym sobie dała radę! Nie mogłabym włożyć tych rzeczy sama, ani ich zdjąć. Gdy chodziłam po męsku, miałam do czynienia tylko z guzikami. Dwa, trzy, cztery, dwadzieścia, mniejsza o to. Wszystko na jeden sposób. Ale teraz sama nie wiem, w czym ja chodzę. Haftki, kółka, tasiemki, jakieś strzępki tu, jakieś strzępki tam, a wszystko z tyłu zapinane, jakgdyby się nie miało przodu. Gula umie sobie z tem radzić, ale bez jej pomocy. Allach mi świadkiem, że owiazałabym się w to wszystko i siedziałabym bez ruchu, z obawy, żeby ze mnie nie pospadało. Tak bym uczyniła.

Grek słuchał z uśmiechem. Barawiła go niewymownie ze swymi minkami i giestami, jakimi ilustrowała swą nieświadomość i bezradność.

— Przyzwyczaisz się wkrótce — rzekł. — Ale istotnie musisz zaopatrzyć się w różne ładne rzeczy w Paryżu, zanim się z nim spotkasz. Byłoby również dobrze, żeby ci włosy trochę odrosły, bo będzie ci trudno nosić kapelusze damskie przy krótkich włosach.

— Nie mogę na to czekać. Tylko tyle, żeby nakupić dużo ładnych sukien. Tylko tyle. Wydam na to tysiąc funtów lub dwa. Czy to wystarczy? Mam dużo pieniędzy w Paryżu; mogę dać więcej.

— Możesz nakupić dużo pięknych rzeczy za tysiąc funtów nawet w Paryżu — odpowiedział Logotheti.

Baraka zaśmiała się.

— Nie będzie to tyle, ile zapłaciłam za pierwszą odzież po mojej ucieczce — rzekła. — Nie wiedziałam wtedy, ile rubiny są warte. Rubinek kobiecie za koszulę i zwierzchnią tunikę; dwa rubinki za parę trzewików, jeszcze jeden za zasłonę. Za każdą rzecz po rubinku. Ja nie wiedziałam, i te kobiety nie wiedziały. Ale w Samarkandze sprzedawałam je den za pieniądze dobremu, perskiemu kupcowi, i dał mi tyle, że starczyło na drogę dla mnie i dla starej służki, którą sobie najęłam, aż do Tyflisu, bo perscy kupcy dawali mi wszędzie listy jeden do drugiego, a ich żony opiekowały się mną, bo inaczej byli by mnie okradli. W taki sposób dostałam się do Stambułu, po wielu, wielu miesiącach, więcej, niż po roku. Perscy kupcy, to dobrzy ludzie. Wszyscy się ich boją, bo są mądrzy, ale to uczciwi ludzie. Nie kłamią, tylko milczą i potrząsają głową i trzeba się domyślać, co przez to chcą powiedzieć, a jeżeli się źle zgadnie, to przecież nie ich wina. Dlaczego mieliby mówić, kiedy mogą milczeć? Ale mniejsza z tem. Mówmy o tych pięknych sukniach, które muszę kupić w Paryżu, i o tem, co mam włożyć na głowę. Golarze w Paryżu sprzedają peruki, widziałam je w oknach; bardzo dobrze zrobione i we wszystkich kolorach, nawet w rudym. Kupię sobie perukę, żeby piękny kapelusz Ferendżych, miał się na czem utrzymać. Może kupię sobie rudą.

— Nie radziłbym perukę — rzekł Logotheti poważnie — a zwłaszcza rudej.

— Ty lepiej wiesz i jesteś przyjacielem. Gdy dobrze wypocznie pojedziemy do Paryża i zaprowadzisz mnie do wszystkich najbogatszych

sklepów i powiesz po francusku kupcom, czego mi potrzeba. Dobrze?

— Zrobię wszystko, by ci być pomocnym — odpowiedział Grek, myśląc, co to będzie, gdy znajomi spotkają go, oprowadzającego śliczną poganę po najwykwintniejszych magazynach ulicy de la Paix.

Tymczasem słońce zaszło i przejrzysty zinnok otulił bezchmurne niebo i fioletowe morze. Dokoła panowała najgłębsza cisza, przerywana jedynie pluskiem wody, obmywającej boki yachtu. Część załogi jadła kolację na dole, a kapitan studiował morskie mapy w swojej kajucie, regulując kompas, stosownie do nowego kursu.

Baraka owinęła sobie szyję końcem długiej woalki i przeciągnęła ją w poprzek twarzy, naksztalt yasmaka, zakrywając usta. Uczyniła to bezwiednie, bo aż do wyjazdu z Konstantynopola, chodziła zawsze zakwefiona, wyjawsz y owe pierwsze chwile ucieczki, kiedy za całą odzież miała tylko koszulę; sprawiło jej teraz przyziemność, Logotheti bowiem wydawał jej się bardziej zbliżonym do jej rodaków niż anglicy i francuzi i mówił jej językiem, i obcowanie z nim było zgola czem innym, niż z panem Van Torpem, lub chodzenie po ulicach Londynu i Paryża.

Zbudziło się w niej nagle poczucie bezpieczeństwa, tak głęboko zakorzenione, w kobiecie Wschodu, poczucie, które każdy mężczyzna uszanować musi, jeżeli nie chce, by go inni rozerwali na sztuki. Wypisano foljały bredni, o upośledzonym położeniu kobiet na Wschodzie, gdy tymczasem one tam rządzą i mają swoją wolę, bardziej niż gdziekolwiek na całym świecie. Ich potęga i wpływ nie miały nigdy równych sobie w Europie, wyjawsz y na schyłku drugiego cesarstwa we Francji, gdy cały wielki naród omal nie zginał dla widzimisię kilku elegantek.

Tak zakwefiona Baraka zwróciła się do Logothetiego, który drgnął zlekka, a potem zaśmiał się, gdyż nie patrzył na nią i ten zaimprovizowany yasmak wywarł na nim nagłe i silne wrażenie. Oddał jej trzy wschodnie salaamy, dotykając serca, ust i czoła prawą ręką.

— Pokój niech będzie z tobą, Hanum Effendi — rzekł, jakgdyby witał tatarską damę, która by nagle zjawiła się przy nim.

— Pokój, Effendi — odpowiedziała Baraka wesoło, poczem zmienionym głosem dodała: — Tu jest tak, jak w Konstantynopolu. Czuję się tu szczęśliwą... Szkoda!

Westchnęła zlekka, osłaniając szczerzej twarz woalką i patrząc w liljową dal. Napodróżowawszy się

tyłe po różnych morzach, Logotheti nie pamiętał równie jasnego i spokojnego wieczoru. Dziwny czar leżał nad oceanem; i nie była to ta posępna, groźna cisza, poprzedzająca indyjskie cyklony, ale raczej słodka drzemka, która ogarnia czasem morskie przestwory i trwa całemi dniami, jakby się nigdy skończyć nie miała.

Logotheti i Baraka jedli obiad na pokładzie przy zaciemnionych światłach. Wieczór był chłodnawy; a pokojówka Barakę ustroiła ją w sposób bardzo dla niej kłopotliwy; ręce bowiem miała obnażone po łokcie, i stanik wycięty u szyi, a spódnice tak samo przylegającą do bioder, jak gdyby znów była przebrana po męsku. Główkę dziewczyny osłoniła jak poprzednio długą woalką przytwierdzoną złotym sznurem, a Baraka zarzuciła sobie jej końce na ramiona, by przykryć je i była bardzo zadowolona, gdy uczuwszy chłód mogła otulić się w podróżny, obszer-ny płaszcz, który jej kupiono, a mimo to, nie sprzeciwiała się zwyczajom prawdziwej damy Ferendźych.

ROZDZIAŁ IV.

Lady Maud zastała pana Van Torpa, oczekującego ją na dworcu w Bayreuth.

— Nie jesteś chyba zmęczona — rzekł patrząc na nią ze szczerem zachwytem. — Wyglądasz tak świeżo, jak malowanie.

— Jest to obosieczny komplement w dzisiejszych czasach — odpowiedziała wesoło. — Ale moje nie zejdzie. Jak się ma Małgorzata?

Głos jej zmienił się przy tem pytaniu.

— Pokazała mi twój list o Logothetie — odpowiedział Van Torp, patrząc na nią pilnie, aby się przekonać, czy ją to zdziwi.

Lady Maud wsiadła do powozu, którym Van Torp przyjechał po nią, on zaś stał przy drzwiczkach, czekając na tragarza, odbierającego jej pakunki. Lady Maud nie miała ze sobą służącej.

— Dobrze, żeś mi powiedział — rzekła — chociaż wołałabym, żebyś go nie pokazywała. Myślałam może, że pisząc ten list, pamiętałam o tem, coś mi powiedział w Londynie, obiecując mi znaczną sumę dla moich biednych kobiet?

— Nie — odpowiedział Van Torp. — Wcale tak nie myślałem. Postąpiłem po swojemu, czyniąc ci tę propozycję, Maud. Ale ty nie byłabyś sobą, gdybyś ją przyjęła. Nie powiem, żeby w tem było coś nieuczciwego i niskiego, mimo to żalu-

je, żeś się z nią wyrwał, i już jej nie ponowię. To wszystko.

Lady Maud dotknęła zlekka obciągniętą rękawiczką palcami jej wielkiej ręki spoczywającej na drzwiczkach powozu i cofnęła je natychmiast, bo właśnie tragarz nadchodził z jej wieloznacznej bagażami.

— Dziękuję ci — rzekła przedko. — Rozumiałam i rozumiem teraz.

Pojechali z wolna przez ciche, senne miasteczko, tak do głębi przejęte poczuciem własnej ważności, jako będące ongi rezydencją księcia Wirtemberskiego, a obecnie, jako jedyne w swoim rodzaju środowisko Wagnerowskiego kultu.

— Posłuchaj, Maud — odezwał się Van Torp. — Namówiłem już prawie te panie na wycieczkę do Wenecji. Spodziewam się, że i ty także pojedziesz.

— Do Wenecji? — powtórzyła Lady Maud zdziwiona. — Przecież tam gorąco nie do wytrzymania i pełno moskitów. Skąd ci ta myśl do głowy przyszła?

— Ano — odpowiedział Amerykanin przeciągle — ja właściwie nie zamierzam zostać tam dłużej nad kilka minut. Kupiłem ładny yacht ostatnimi czasy i tam właśnie stoj bezczynnie, więc pomyślałem, że mogłybyście panie zabrać się ze mną wszystkie i popłyniemy sobie gdzie zechcecie.

— Nie wiedziałam, że posiadasz yacht — rzekła Lady Maud z uśmiechem. — Otóż co to jest mieć Bank Angielski w kieszeni. Gdzież go kupić i jak się nazywa? Ogromnie lubię yachty.

Van Torp opowiedział jej wszystko.

— Zapomniałem, jak się nazywa ten yacht — dodał w zakończeniu — ale zminilem mu imię. Nazywa się teraz *Lancashire Lass*.

— Imię mojej kochanej klaczki, na której owego wieczora jechałeś. Jak to ślicznie. Może trochę nieodpowiednie, jak na nazwę yachtu, ale mniejsza z tem. Bardzo mnie to cieszy. Nie zapomnę nigdy tego, jak wyglądałeś wtedy, pędząc oklep galopa we fraku i bez kapelusza.

— Nie wiem jak wyglądałem — odpowiedział Van Torp z powagą — ale wiem, że się śpieszyłem. Teraz chciałbym wiedzieć, czy zgadzasz się na moją propozycję, oczywiście o ile one pojedą, bo nie przypuszczam wcale, żebyśmy błąkali się po morzu we dwójkę.

— A ja, nie przypuszczam — odparła Lady Maud przedrzeźniając go zlekka — żebyś miał czas na morskie wycieczki, o ile „one“ się nie zgodzą.

— Jesteś złośliwa — rzekł Amerykanin — i nie to wcale miałem na myśli. W każdym razie, czy mogę liczyć na ciebie? O to bardzo chodzi.

— Zapewne. Więc to tylko będzie Małgorzata, ta jej dawna opiekunka, pani Patmore, czy jak. Nie znam jej.

— Rushmore — poprawił Van Torp.

— To wszystko jedno — odpowiedziała Lady Maud z roztargnieniem, myśląc o czem innem.

— Nie znasz jej — zauważył Van Torp. — I dlatego powiadasz, że to wszystko jedno. drugiej pani Rushmore niema na świecie.

— Czy taka straszna? — spytała Lady Maud nieco zaniepokojona.

— Straszna? — Bynajmniej. Bardzo miła. Jedną z tych prawdziwych, dobrze wychowanych i na wskroś wytwornych dam nowojorskich. Ma tylko jedną słabość.

— Jakąż to?

— Przepadła za wszelkiego rodzaju znakomitościami. Jest nienasycona na tym punkcie. Otaczała by się niemi od rana do nocy. Nawet i tu urządza wciąż jakieś herbatki, jakieś przyjęcia. Żyć by bez tego nie mogła. Ale muszę przyznać, że wywiązuje się z tego doskonale. Jest bardzo dystygowana i taktowna. Zresztą jesteśmy w wielkiej przyjaźni.

— I ty należysz do znakomości — zauważyła Lady Maud.

— Również i panna Donne, na znacznie większą skalę. Logotheti jest także znakomością na swój sposób, ale pan Rushmore nie lubi Greków. Co do ciebie to jesteś jej „lordowską mością“ i rosyjską hrabiną w dodatku, więc pan Rushmore będzie zachwycony. Mam też jeszcze jednego rosyjanina, nazywa się Kralinsky; hrabia Kralinsky. Słyszałaś kiedy to nazwisko?

— Nigdy. Brzmij z polska.

— Może on i polak. Czasem jestem prawie zupełnie pewny, że to ten sam, którego znałem ongi, gdy byłem na ranch'y, i raptem widzę, że to ktoś zgoła inny. Nie umiem określić, na czem polega ta różnica. To tylko pewna, że to ten sam Kralinsky, od którego kupiłem w Nowym Yorku ten rubin, co ci go dałem przed miesiącem, i on temu nie przeczy, chociaż nie przypominam sobie, żeby był wtedy hrabią. Rad był ze spotkania ze mną, ale nie lubi mówić o handlu rubinami. Może przeszedł przez to jak wielbłąd przez ucho od igły.

Dalszy ciąg nastąpi.



Z literatury.

Srocza kaszkę warzyła.

Mile wspomnienia dzieciństwa i zioły sen na jawie budzi się, gdy bierzemy do ręki książkę p. Zofii Rogoszewskiej p. t. „Srocza kaszkę warzyła”. Znajdujemy w niej wszystkie skarby lat dziecięcych, poczynając od „entliczek-petliczek czerwony stoliczek”, a kończąc na „jawor, jawor, jaworowi ludzie”.

P. Rogosz usystematyzowała wszystkie te „gadki dziecięce” i dodała podręczne wyjaśnienie, jak prowadzi się za-

bawę przy tych piosenkach. Wdzięczne ilustracje zrobiła p. Lubajska-Stryleńska, a prof. Michał Świerzyński opracował część muzyczną. W ten sposób powstała książka — skarb dla dziecka polskiego. Zawarto w niej dziecięcą polską rację stanu, od pokoleń tradycyjnie przechowywaną nad Odrą, Wisłą, Wartą, Bugiem czy Notecią. P. Rogoszewna twierdzi, że piosenki te i gadki sięgają nawet czasów pokolenia Jana z Czarnolasu. Z racji tej wyraża ona w przedmowie swojej zrozumiałe życzenia:

„Skoro (piosenki te) powstały na polskiej ziemi, skoro zrodziła je miłość

dla dziecka, a humor ich, wdzięk i naturalna prostota przemawiają tak samo do duszy dzisiejszego dziecka, jak do dzieci dawnych czasów, pragnęłabym, by dotarli do każdego polskiego domu i wyrugowały zeń niezliczone wydawnictwa dla dzieci, które cudzoziemcy zalewają nas od dziesiątek lat”.

Przypuszczać należy, że rozsądnemu życzeniu temu stanie się zadość. Książka bowiem p. Rogosz jest naprawdę miłą przyjacielką lat dzieciństwa naszego.



Z dziedziny kosmetyki.

Aldonie. Ręce choćby najbardziej szorstkie i zaniedbane udelikatni szybko i radykalnie *Płynny Goldkrem Abaridowy* użyty w małej ilości po każdym myciu rąk. Zęby żółte wybieli proszek *Albol*.

Stamślawie B. Wypadanie włosów powstrzyma *Tetral Tissota*, którym trzeba zwilżać skórę na głowie podczas раннего czesania. Gdyby po zu-

życiu jednego flakona nie było dodatniego rezultatu, wtedy należy nacierać skórę pomadą *Tortulea* dwa razy na tydzień, aż do zużycia całego słoika.

Młodej wdówce. Cere najpiękniej i prawidłowo konserwuje krem *Abarid* wcierniany w niewielkiej ilości na noc. Rano zaś myć twarz bardzo ciepłą wodą z *Otrąbkami abaridowymi* bez mydła. Zbytniej tuszy pozbyć się można pijąc na czczo *Zioła paragwajskie* zaparzone jak herbata, lub lepiej raz za gotowane.

Frani Gar... Puder *abaridowy* jest jednym z najlepszych pudrów do twarzy, nie zawiera w sobie związków metalicznych jak bizmut, ołów i t. p. a więc jest wytworem higienicznym.

Do wszystkich. Środki tutaj zalecane mają na składzie Perfumerja: „Perfection” Szpitalna 10 i *Pasekowski* Marszałkowska 109. Na kopertach z zapytaniem o poradę należy dopisać: „Dział Kosmetyczny”.

M-e Ercedés.

LECZENIE EPILEPSJI

Epilepsja nie jest nieuleczalna, leczenie jej jednak nie polega na samym zapobieganiu jej objawom, lecz na wzmacnianiu organizmu, przez wytwarzanie substancji krwionośnych i odżywianie komórek nerwowych, zmniejszanie chorobliwej pobudliwości mózgu i usuwanie przyczyn, wywołujących napady epilepsji, lub objawy chorób nerwowych. W tym celu opok związków leczniczych, mineralnych stosowane być muszą przy kuracji związki roślinne, które razem zawarte w proszkach.

EPILEPSIN SPIESS

Są jedynie wskazanym środkiem leczniczym przeciw epilepsji i innym cierpieniom nerwowym, które dla swego zaniku wymagają wzmożenia systemu nerwowego i racjonalnej przemiany materii, przez wytwarzanie substancji krwionośnych i odżywianie komórek nerwowych.

Proszki EPILEPSIN SPIESS

Żądać należy we wszystkich aptekach i składach aptecznych. Szczegółowy sposób użycia przy każdym oryginalnym opakowaniu. 11113
Żądać szczegółowych broszur.

Dr. Jan AŁAPIN

Królewska 31, tel. 49-44. B.st. ord. kl. szpit. św. Łaz. Chor. wener. i skórne, włosów Prom. Roentgena, niemoc pło. Przyjm. do 1 pp. 14-7 w. 10854

Dla KASZLĄCYCH. LELIWA.
Ekstrakt i karmelki
Egzystuje od 1884 roku.
Sprzedaż w aptekach i składach aptecznych.

Dwory polskie KURSA LAMPEGO
angielskiego francuskiego i t. d. udzielają specjaliści profesorowie pod kierunkiem profesora szkół Berlitz'a
JAMES SMITH'S
Bielajska 16 telefon 53-05
Sienkiewicza 3 „ 58-67

U MAJCHRZYCKIEJ
Czesanie, ondulacja, mycie głowy, farbowanie, rozjaśnianie włosów, parowanie, wibracyjny masaż twarzy, manicure, pedicure, usuwanie odcisków. Wyroby z włosów
Chmielna 30, m. 8, 1-e piętro.
Tel. 285-24. 11053

WŁODZIMIERZ PERZYŃSKI
Łut szczęścia
Cena Mk. 8.
Do nabycia we wszystkich księgarniach.

Roboty ręczne
3 ZESZYTY.
Cena Mk. 9.

ZORZA
NAJLEPSZA PRZETŁUSZCZONA
PASTA do OBUWIA
IDEALNIE KONSERWUJE
SKÓRĘ NADAJĄC JEJ
MIĘKKOŚĆ I POŁYSK
NAGRODZONA MEDALEM NA
WYSTAWIE KRÓLESTWO MODY
KRAJOWA WYTWOR
NIA CHEMICZNA
WARSZAWA OGRODOWA 45
tel. 167-94 i 238-90

PRENUMERATA w Warszawie i na prowincji wynosi rocznie 140 marek, kwartalnie 35 marek, miesięcznie 12 marek. — Za zmianę adresu 1 marke.

OGŁOSZENIA: wiersz nonparelowy lub jego miejsce na 1-ej stronie przy tekście lub w tekście 12 marek, na 1 stronie okładki 7 marki 50 fen., na 2-ej i 4-ej stronie okładki 4 marki, na 3-ej stronie okładki 3 marki, przed Romansem 6 marek, za Romansem 4 mk. 50 fen. Kronika towarz. i nekrologi po 8 mk. Nadesłane 15 mk. Marginesy: na 1-ej stronie okładki 75 marek, przy nadesłanych 60 marek, na ostatniej stronie okładki 50 marek. Artykuły reklamowe 1500 marek za stronę. Załączniki zwykłe po 80 marek od tysiąca.

Adres Redakcji i Administracji:
WARSZAWA, SZPITALNA 12.

FILJA W ŁODZI: Biuro dzienników i ogłoszeń „PROMIEN” Piotrkowska 81.